

PEJZAŻ Z PAMIĘCI CZYLI W SPRAWIE NIEDOKOŃCZONEGO PRZYPISU

„Item słyszeliście, że Jeruzalem leży w środku świata. Kiedy więc jada stamtąd na wschód tyle dni ile potrzeba, aby stąd dotrzeć do Jeruzalem osiągną granice tamtego świata ...”

(sir John Mandeville)¹

Przyznaję, że niejasna przewrotność kryjąca się za tym tytułem jest trochę niezręcznym zaproszeniem do lektury, jeśli jednak, drogi czytelniku, zaufasz autorowi i dasz wiarę, że nie tylko skłonność do krygowania się przed Tobą podyktowała mu te słowa, to u kresu wędrówki, do której Cię teraz namawiam, odnajdziesz być może wytłumaczenie.

Lecz zanim skierujemy się na właściwy trop, pozwól, że wyjaśnię jedno słowo, które w dalszej części tego szkicu powróci wielokrotnie w różnych kontekstach. Droga (bo o niej tu mowa) symbolizuje poszukujące dążenie. Podobne temu zdanie usłyszałem kiedyś na wykładzie prof. Władysława Stróżewskiego², poświęconym filozofii Parmenidesa. Uświadomiłem sobie wtedy, że wszechobecna w dziejach myśli metafora drogi oznacza coś więcej niż tylko pustą figurę retoryczną zdolną przemycić każdą treść. I jeśli przedmiot tego szkicu zmusza mnie wręcz, bym mówił o „drodze”, to to nie znaczy wcale, że „wędrówka” jako swego rodzaju postępowanie badawcze, które tu proponuję, wprost wynika z przedmiotu. Przeciwnie, wiążąc się z nim, jednocześnie zachowuje autonomię i pozostaje metaforą. Należy utrzymywać właściwą między nimi równowagę; tzn. nie traktować metafory na prawach niewygodnego świadka naszej bezradności interpretacyjnej, lecz uświadomić sobie, że dopiero metafora umożliwia interpretację. Poruszając się w obszarze metafory, wczytując się w nią równocześnie w jakimś stopniu współtworzymy jej sens. Podobnie jest z metaforą drogi. Jakiśkolwiek poszukiwania intelektualne zawsze czerpały rozmach z przestrzeni, ponieważ w niej dynamizuje się język. Nie można sobie nawet wyobrazić takiego dążenia do „ładu”, któremu zabrakłoby perspektywy drogi — „droga odkrywa, otwiera”. Często jednak przechodzimy mimo niej, nie zdając sobie sprawy z jej istnienia. To prawda, że droga „odkrywa”, ale dopiero pod warunkiem, że się ją zauważy. I tu tkwi źródło niepokoju, nie tylko filozoficznego, bowiem każda sztuka interpretacji wymaga takiego zadziwienia, refleksji, a więc zatrzymania się nad czymś.

Wracając do etnologii, najlepiej przybliży nam to zjawisko *Złota Gałąź* Frazera. Otwiera ją, pozornie nieistotny, antyczny ryt i na dalszych kartach dzieła błyskawicznie przeradza się w istną lawinę cytatów, odniesień, przypomnień. Etap po etapie ścieżka interpretacji wprowadza czytającego w rozległy świat znaczeń. Rozwijający się wątek nie powoduje rozładowania napięcia lecz potęguje je. Nic więc dziwnego, że „mimo wszystko” *Złota Gałąź* zachowała do dzisiaj swoją pierwotną świeżość i nadal inspiruje. Pełnoda zwłaszcza tych, którzy poszukują odpowiedzi nie tyle na pytanie — „czym jest etnografia?”, ile — „jaką wartość może mieć dla etnografa jej uprawianie?”.

Mam nadzieję, że w ten sposób usprawiedliwiłem tok wywodu, który zaprezentuję poniżej.

Do wyjaśnienia pozostało nam jeszcze drugie znaczenie „drogi”. Odnajdujemy je równie często w filozofii greckiej, jak i w myśli chrześcijańskiej, mimo iż nie odnosi się już do „drogi prawdy”. Bez względu na to jak pojmować „zbawienie”, „droga” w wizji chrześcijańskiej także stanowi jego odwrotność, a więc „upadek”. Dla przykładu odwołam się do fragmentu homilii Sewera z Antiochii zatytułowanej *O Miłosiernym Sa-*

marytaninie (V wiek): „W skutek sprzeniewierzenia się Adama, ludzkość straciła prawo bytu w raju, miejscu wysoko położonym, spokojnym, wolnym od cierpień i cudownym, które słusznie nazwano tutaj Jeruzalem, gdyż nazwa ta oznacza „pokój Boży”. I zstępuje ona do Jerycha, krainy pustej i zapadłej, w której upał jest duszący. Jerycho, to gorączkowe życie świata, życie odrywające od Boga i pociągające w dół. Ogień najbardziej bezwstydnym przyjemności powoduje w nim duszność i wyczerpanie.”³

Ta pesymistyczna wizja doczesności zyskuje sobie aspekt pozytywny dopiero w ogólnym planie zbawienia. Tymczasem jednak piętno grzechu Adama sprowadza jego potomnych w chaotyczny dół, gdzie „gorąc” i „duszność” przepełniają ich życie cierpieniem.

Na podobne skojarzenie „drogi upadku” z pierwiastkiem „duszności” i „gorączkowości” zwrócił uwagę Władimir Toporow w ciekawej analizie *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego. Poprzez ustalenie etymologii niektórych słów, szczególnie prześcających język powieści, Toporow doszedł do wniosku, że *Zbrodnia i kara* rozwija archetypiczne przedstawienia chaosu i kosmosu, tkwiące korzeniami w opozycji wedyjskich słów „amhas” i „uru loka”. Pierwsze oznacza „resztki chaotycznej wąskości, ślepego zaułka, braku dóbr zarówno w strukturze makrokosmosu, jak i duszy człowieka”, drugie natomiast — „szeroki świat”.⁴

Tak zrekonstruowana opozycja jest dla *Zbrodni i kary* osią jej dynamiki. Uczestniczy w wędrówce Raskolnikowa po Petersburgu i wyznacza kierunek jego ewolucji etycznej. Zapewnia osobowości tę pełnię człowieczeństwa, której nie można osiągnąć inaczej, jak poprzez pełną jej utratę. Tyle Dostojewski.

Chociaż nie określiłem jeszcze wszystkich aspektów „drogi”, którą przyjdzie nam przemierzyć, nadeszła już pora, aby wyznaczyć jej początek.

W dalszej części wspomnianej analizy Toporow dorzuca do opisu „środka” jeszcze jedno spostrzeżenie. Otóż nie dosyć, że owo „centrum ciemności” jest duszne, wąskie, to jeszcze na dodatek — żółte. Czy jest się czemu dziwić? Czy przejawiająca się melancholią „naturalna reakcja” na widok pożółkłych tapet, kryje jeszcze coś poza sobą? Oczywiście można uzasadnić to ciągiem skojarzeń typu: żółte — pożółkłe — uwiąd — destrukcja — śmierć i pewnie stąd właśnie przynębenie. Ale po cóż stawiać pytania, skoro odpowiedź jest już gotowa, tzn. „uzasadniona”. Musiałem je odrzucić, tak jak to zrobił Toporow, gdy poprzestał jedynie na stwierdzeniu związku między „chaotycznym środkiem” a szczególną kolorystyką. W przypisie do tej uwagi czytamy: „na przykład: żółty kolor tapet, żółte meble, żółte ramki u staruchy, żółte meble u Porfirego, żółta woda w kantorze; błada żółkła cera Raskolnikowa i Katarzyny Iwanowny”.⁵

Wydać by się mogło, że ten „niedokończony przypis” Toporowa prowadzi nas w ślepią uliczkę. Przyznam, że i ja tak myślałem aż do chwili, kiedy w moje ręce trafił inny tekst — dziewiętnastowieczny pamiętnik niemieckiego podróżnika Paula Harro Harringa.⁶ Jego charakterystyczny rys ponownie odsyła nas do symboliki koloru żółtego. Szczegół ten, jak obraz utajony

w kliszy fotograficznej, pewnie umknąłby mi, gdyby nie wcześniejsza lektura artykułu Toporowa.

Zatem nie pozostaje nic innego jak, korzystając z usług nowego przewodnika, ruszyć w dalszą podróż. Zawiedzie nas ona do Królestwa Kongresowego, w którym ten romantyczny peregrynator zawitał w roku 1828. Pobudki, jakimi się kierował, wypływały z klimatu epoki. Nie dziwimy się przeto, że „pełen wzruszającej naiwności” „postanowił podjąć zaszczyt służby w wojsku polskim”, które jak głosiła prasa niemiecka gotowało się właśnie do walki z Turkami. I chociaż na miejscu pogłoski okazały się fałszywe, fatum, które zaciążyło nad losem Harringa było nieublagane. Trafił więc do armii, a ściślej mówiąc zwerbowano go tam pod przymusem i, co jeszcze bardziej rozmiękało się z jego planami, była to armia nie polska a rosyjska. Odsłużył w niej dwa lata, podejmując w międzyczasie szereg prób wydostania się z Polski. Wszystkie spaliły na panewce. Został po nich ślad w pamiętniku, gdzie czytamy: „Polska wydała mi się (...) pełną słoniny pułapką na myszy (świń tam dosłownie i w przenośni nie brak), do której bardzo łatwo można się wśliznąć, ale cały problem polega na tym, by się stamtąd wydostać. Przy wyjściu wszędzie można uderzyć nosem o druty, na których niejeden utknął.”⁷ Dopiero po ciężkiej kontuzji, jako obiekt nieprzydatny dla celów wojskowych, uzyskał Harring zezwolenie na wyjazd. Po powrocie do Niemiec, w 1831 r., wydał książeczkę zatytułowaną *Wspomnienia o Polsce pod panowaniem rosyjskim*. Zawiera ona wnikliwy, do dziś budzący zgrozę, opis stosunków między władzą a społeczeństwem Kongresówki. Powrócę do niego później, a tymczasem posłuchajmy jak Harring wspomina przekraczanie granicy tej „krajiny bez powrotu”.

„Niemiecki czytelniku! Gdyby kaprys losu miał cię kiedyś sprowadzić do Polski i kierowałbyś się przypadkiem przez Wrocław do Kalisza, przypatrz się dokładnie dumnym dębom w okolicy Milicza, uciesz się urokiem ich zieleni, lub jeśli to będzie zima, skrzęcamy szronem, otwórz swe serce na ten widok, pożegnaj się z Niemcami — ale następnie zamknij swe serce, a także swój kufer, jeśli dotychczas go nie zabezpieczyłeś, i bacz na każde słowo, jak i na swoją sakiewkę, bo jedziesz do Polski.

Zmiana krajobrazu niemieckiego na polski dokonuje się stopniowo, jeżeli w ogóle krajobrazem można nazwać to, co nas otacza na tym skrawku ziemi, który stanowi początek właściwej Polski.

Polski? — cóż mówię! Nie ma przecież Polski! Są jeszcze jak dotychczas, Rosja, Prusy i Austria, nie ma jednak Polski.

Ale jedziemy, jak szybko to możliwe, przez tę część państwa pruskiego, która poprzez monotonię szarzyny doprowadzi nas nad granicę rosyjską.

Droga z Wrocławia do Kalisza jest jedną z najgorszych, jaką kiedykolwiek przejeżdżałem — powiadam: przejeżdżałem; prowadzi na dużym odcinku przez bagna, które — jak każde bagno — mogłoby dopiero stać się drogą.

Pojazdy były dostosowane do drogi, tzn. wybitnie się pogorszyły od chwili, kiedy minąłem pierwszą stację, za Wrocławiem, dumnym miastem prowincjonalnym, będącym jeszcze w zasięgu dobrodziejstw kultury... unosiłem się w tej na poły płynnej bryli, na przestrzeni trzeciej stacji...

Czy zdołasz sobie wyimaginarować, drogi czytelniku, jak mógł świat wyglądać jeszcze przed jego stworzeniem?

Doskonale mogę sobie to wyobrazić, odkąd odbywałem podróż przez Polskę pod zaborem pruskim. Wśród tysiąca obrazów, utrwalonych w mojej pamięci, najwyraźniej wyłania się przede mną obraz, który można by wiernie odtworzyć za pomocą piasku, bagna, gliny, słomy i wielu stert gnoju. Przede wszystkim jednak w mojej wyobraźni unosi się obraz pewnej wsi — nazwa ta dla tej najniebezpieczniejszej z osad jest bezsprzecznie obraźliwa, niemniej zowią ją wsią.

Niebo i chaos — oto główne tło tego obrazu. Ziemia nie była jeszcze, zdaje się, stworzona, tu i ówdzie widniały rozpadające się strzechy, popękane mury gliniane i cuchnące kupy gnoju na piasku bezdennej, przesypującym się przez koła

naszego wozu. To było wszystko — poza tym stęskniony wzrok dosłownie na niczym nie mógł się oprzeć.

Gnębiło mnie pragnienie, poleciłem więc pocztylionowi, by zatrzymał wóz przed szynkiem dla pokrzepienia się łykiem prawdziwie świeżej wody. Milcząc zboczył nieco w lewo, w pobliże jednej ze strzech, głęboko osuniętej nad rozpadającą się lepianką.

To była pierwsza, tzn. pierwszorzędną gospoda.

Wysiadłem, zapytałem, co mogę dostać, bo przecież — stosownie do przywileju oberżysty — nie mogłem poprzestać tylko na szklance wody. Kobieta — której opisowi sprzeciwiają się prawa estetyki — zdawała się być głuchoniema i wreszcie odpowiedziała, że nie posiada nic innego poza wódką.

Wódkę, a — na wszelki wypadek — także trochę wina miałem z sobą, ale mój język pragnął świeżego płynu, poprosiłem przeto, zadowolony, o szklankę czystej wody.

Dobrą radą nie należy gardzić: kobieta zaprowadziła mnie, brodząc przez błoto i gnój, na oddalone o kilka kroków podwórce i wskazała mi studnię — okropną jamę, otoczoną poręczą z trzech desek, oblaną brunatnym sosem. Z głębi studni dobywał się fetor żółtej posoki, ściekającej po spleśniałych grzybach, pokrywających gliną cembrowinę.

— Czy to wasza studnia, dobra kobieto? — zapytałem na poły z uśmiechem, na poły wzruszony tą ludzką nędzą, która tu nazywała się życiem.

— Tak, to jest, jak pan widzi, studnia, ale wiadro znajduje się w głębi, a drąg jest złamany.

Z pełnym rezygnacji spojrzeniem, które padło na gromadkę całkowicie nagich dzieci, tarzających się w piachu, wsiałem do pojazdu. Podczas ślimaczej jazdy miałem dosyć czasu na ponowne przyglądanie się okolicy. Bardzo musiałem się zastanowić, czy w jakimkolwiek kraju poza Polską widziałem podobny obraz. Jak daleko wzrok sięgał — nie tylko przestrzeń, w której z łatwością można by wkrótce stworzyć świat.

Z rozpaczki pociągnąłem z flaszki potężny łyk, nabiłem fajkę i dumalem nad szczęściem narodów, nad dolą ludzką i nad słowami francuskiego gwardzisty, który kiedyś, w tej okolicy, wśród przekleństw wykrzyknął: „I to nazywają Polacy ojczyzną?”

Zapadł wieczór, przeszła noc. Kiedy z nadchodzącym porankiem zbudziłem się z mojej ostatniej drzemki, było mi ciężko na sercu. Wydawało mi się, jak gdybym dotarł na koniec świata, w miejscu, gdzie winien być już zabity deskami. Zimny poranek wiosenny świtał na horyzoncie, ale tu nie znalazł wiosny. Cztery pory roku zdawały się tu być w zaciętym sporze nad sprawą śmierci natury. Nawet jej elementy zdawały się istnieć jedynie w stanie szczątkowym. Powietrze, ziemia, bagniska i tylko tyle ognia, by służyło na zapalenie fajki.

Wreszcie, na lewo od drogi, ukazał się wysoki budynek kamienny — pruski urząd graniczny czy jak się tam zwał. Pocztylion doręczył swój papierek i szlaban podniósł się w górę. Skrzypiąc zamknął się za nami, ten odgłos przeszył mi serce.

Tak więc znalazłem się formalnie rozłączony — oddzielony od kraju dębów, które w rzeczywistości opuściłem już około dwudziestu godzin temu. Czulem ucisk serca. Znajdowałem się właściwie w kraju bezpańskim, bo dopiero po przejechaniu dwóch, a może półtorej wiorsty od miejsca, gdzie widniał ostatni orzeł z czarnych i białych desek, ukazał się dwugłowy przy czerwono-białej rogatce. Co za kontrast między granicami pruską i rosyjską! Przy pierwszej ani szyldwach, ani żołnierza, ani jeźdźca granicznego; tu rogatka, Kozacy, inspektorzy, strzelcy graniczni, herby, broń.”⁸

Od czasów, kiedy sir John Mandeville pisał swój przewodnik po Ziemi Świętej, dzieli nas wiele stuleci. Zmieniły się układy polityczne, inaczej przebiegają szlaki komunikacyjne i nikt nie traktuje dosłownie zwrotu „na krańcach ziemi”. Wystarczy jednak przywołać taki choćby opis Harringa, by uświadomić sobie, że do dzisiaj żyjemy w świecie o średniowiecznych zarysach. Ta sama intuicja geograficzna, istniejąca w myśleniu stereo-

typowym, wytycza granicę między zachodem a wschodem, podnosząc ją do rangi „końca świata”. Poza ekumeną nie ma cywilizacji, kultury, dobrych obyczajów, poczty zachowującej tajemnicę korespondencji itd. Jeżeli trafi się wyjątek, to tym gorzej dla niego, ponieważ to, co „u nas” jest normalne, trwałe i dobre, „tam” istnieje na zasadzie diabelskiej przewrotności, maskując dewiacje, niestałość i ogólny chaos. Wspaniałym przykładem takiej inwersji jest reakcja Harringa na niespodziewanie dobry stan dróg w Polsce. Twierdzi, że chociaż „wjeżdżającemu do Polski wydaje się ten kraj wzorem kultury, zwłaszcza gdy wzrok jego przesuwają się po świetnej szosie biegnącej prosto jak strzelił”, to „niedaleko zaszedłby filozof, gdyby według stanu tej drogi wnioskował o stanie kraju... Doszedłby wtedy do wniosku, że bardzo jest kiepsko z pracowitością na Śląsku, natomiast bardzo wysoko stoją w Polsce przemysł i sztuka. Tymczasem wszystko jest właśnie na odwrót”.⁹ (podkr. A.C.) Ostatnie zdanie dostarcza nam gotowej formy stereotypowego widzenia zagranicy. Zgodnie z tą zasadą „prosta droga” odniesiona do negatywnej całości jest przedłużeniem i ekwiwalentem „bezdroży”.

W ramach tych uniwersalnych schematów mieści się także wizja „drogi upadku”, której wiele miejsca poświęciłem na początku szkicu. Według Harringa naród polski jak owa ludzkość zstępująca do dusznego Jeryha, oddala się od wspaniałej spuścizny swoich przodków. Za jakie grzechy Polacy cierpią, tego Haring nie precyzuje, ale i nie czyni im żadnych obietnic, że kiedykolwiek osiągną „niebieskie Jeruzalem”. Widocznie przesunięcie granicy tamtego świata już na zawsze wyrwało Polskę z „zasięgu dobrodziejstw kultury”. Historia pokazała czy stało się tak rzeczywiście, reszta jest już tylko milczeniem. Mimo, że „droga upadku” tworzy wraz z pozostałymi stereotypami jeden syndrom, wyróżnia się zdecydowanie swoim chrześcijańskim rodowodem i zasługuje na potraktowanie jako przedmiot odrębnych badań.

Ta sama podróż Harringa ukaże się w nieco odmiennym świetle, gdy zauważymy, że jej przebieg jest wiernym odwzorowaniem mitycznej podróży w zaświaty. Mam na myśli typowe dla niej odkształcenie czasu i przestrzeni, szczególnie narzucające się w zdaniu kończącym cytowany fragment pamiętnika. Jak sobie przypominamy Haring zatrzymuje się przed rosyjską strażnicą i ze zdumieniem stwierdza, że od czasu kiedy opuścił „kraję dębów” minęło przeszło dwadzieścia godzin. „Czas przejścia” jest płaski, a przestrzeń — amorficzna. Dwadzieścia godzin stanowi w przeszłości lukę, której Harringowi nie udaje się tak łatwo zapołąć.

Ten pobieżny przegląd różnych aspektów drogi w zaświaty jest zarazem wykazem różnych możliwości interpretacyjnych. I stale pamiętając o nich spróbuję przyjąć nieco odmienny kąt widzenia.

Otóż wydaje mi się zasadnym potraktowanie tej relacji jako swego rodzaju świadectwa przeżycia estetycznego. Jego przedmiotem intencjonalnym byłby tu krajobraz wywołany z pamięci, a więc już pewien obraz, wielający ustalony porządek wartości. I chociaż trudno mówić o porządku wartości w przypadku obrazu, z którego wзира powszechny chaos, postaram się wykazać w jaki sposób antyestetyka może być produktem określonej estetyki i związanego z nią porządku wartości.

Przejdźmy teraz do tekstu i wynotujmy z niego te fragmenty, które odpowiadają interesującej nas kolorystyce. Już pobieżna analiza wykaże, że najczęściej pojawia się piasek, strzechy, gliniane mury, kupy gnoju, bagna i w jednej sytuacji (w fabule pamiętnika znajduje ona pozycję wyraźnie kulminacyjną) — żółta posoka. Z wyjątkiem ostatniego, wszystkie poprzednie elementy krajobrazu dopuszczają bardzo rozległą tonację, jednak zawsze będą to pochodne koloru żółtego. Ogólnie rzecz biorąc, po dołączeniu „brunatnego sosu”, kolorystyka taka oddaje „monotonną szarżyznę”. Dla przeciętnego Europejczyka nie stanowi ona zaskoczenia, zwłaszcza po uwzględnieniu całego kontekstu, ale właśnie ten kontekst pominąłem celowo, po to

aby go odnaleźć w innych tekstach i dopiero później powrócić do wspomnień Harringa. Inaczej mówiąc, da się zaaranżować sytuację, w której wypowiedź będzie się tłumaczyć przez wypowiedź.

Wspomnienia Harringa są typowym wytworem romantyzmu i nie sprzecząc się już o zasięg tego pojęcia, prowadzi nas ono do kilku, różnej rangi postaci epoki: Goethego, Delacroix, Rungego czy nieco wcześniejszego Price’a. Wszyscy oni zajmowali się rolą, znaczeniem koloru w przeżyciach estetycznych, niekiedy czyniąc to z prawdziwie naukowym zacięciem, jak w przypadku Goethego czy Rungego.

Goethe w *Nauce o barwach* pisze o barwie żółtej: „Jeżeli barwa ta w swej czystości i jasnej postaci działa przyjemnie i radośnie, w pełnym nasyceniu ma coś z pogody i szlachetności, to gdy zostanie zabrudzona lub w pewnym stopniu przeciągnięta na stronę minusową, okazuje się na to niezmiernie wrażliwa i działa bardzo nieprzyjemnie. I tak kolor siarki, posiadający lekki odcień zieleni sprawia nieprzyjemne wrażenie.

Takie właśnie wrażenie powstaje, jeśli kolorem żółtym zabarwimy powierzchnie nieczyste i nieszlachetne, np. zwykłe sukno, filc itp. na których nie ukazuje się on z całą swą siłą. Przez nieznaczne i niedostrzegalne przesunięcie odczuwamy teraz to, co robi wspaniałe wrażenie ogni i złota, jako plugawe: barwa chwały i rozkoszy zostaje zamieniona w barwę hańby, wstrętu i niesmaku. Stąd też prawdopodobnie wzięły się żółte kapelusze bankrutów, żółte pierścienie na płaszczach Żydów. Także tak zwany kolor rogaczy nie jest niczym innym jak brudnym kolorem żółtym.”¹⁰

Od siebie dorzucę tylko żółte łatki dla Żydów za czasów III Rzeszy, żółte kwiaty oznaczające zazdrość, żółte worki pokutujących przed Świętą Inkwizycją, czy żółte habity tych, których oddawano władzy świeckiej na stracenie. Odwrócenie dokonane przez Goethego polega na tym, że kolor siarki sprawia nieprzyjemne wrażenie, nie tylko ze względu na lekki odcień zieleni, ile z powodu nieprzyjemnego zapachu kojarzącego się z piekłem, a co do Żydów to znany jest antysemityzm Goethego.

Poszukując porządku aksjomatycznego dla antyestetyki obrazu Harringa, docieramy do jeszcze jednego aspektu nobilitacji koloru w XIX w. Jest to jego aspekt kosmiczny. Romantyzm uprawiał mistykę barw, czerpiąc obficie ze średniowiecznej alchemii którą Schelling nazwał „sztuką destylowania substancji boskiej z substancji ziemskiej”. Znana była też książka Jakoba Boehme z 1620 roku, gdzie poszczególnym barwom odpowiadają określone Osoby Trójcy Świętej.

Przytoczę cytaty z dwóch głównych dzieł teorii koloru, tym ciekawszych, że powstałych w tym samym czasie i do pewnego stopnia niezależnie od siebie. Pierwszy pochodzi z dzieła Philippa Otto Rungego *Farbenkugel*: „Kolor jest ostatnią sztuką, która zawsze pozostanie tajemnicą. Zawiera symbolikę Trójcy: światło, czyli biel i ciemność, czyli czern, które nie są kolorami. Światłość jest dobrem, ciemność — złem... Nie możemy pojąć światła i nie możemy pojąć ciemności. Dlatego ludziom dane zostało objawienie i barwy przysły na świat, a oto: błękit, czerwień i żółcień. Błękit jest Ojcem, czerwień jest więzią między niebem a ziemią. Gdy obie znikną, ukazuje się w nocy ogień, który jest żółty; jest to zesłanie Parakleta, dlatego księżyc jest żółty.”¹¹

Drugi cytat pochodzi od Goethego: „Jeżeli zdamy sobie sprawę z krańcowych opozycji barwy żółtej i niebieskiej i jeśli dostatecznie długo przyglądać się będziemy ich intensyfikacji ku czerwieni, co sprawia, iż przeciwieństwa zaczynają się skłaniać ku sobie i łączą się w czymś trzecim, wówczas na pewno powstaną pewne, szczególne, tajemnicze wyobrażenia, że tym oddzielnym od siebie, przeciwstawnym sobie dwom istnieniom można by przypisać znaczenie w sferze ducha. Widząc jak ku dołowi wytwarzają one zielen, a ku górze czerwień, z trudem powstrzymamy się od pomyślenia tam o ziemskich, a tu o niebieskich bytach, które Elohim stworzyły.”¹²

Żeby określić pozycję czerwieni w koncepcjach, trzeba najpierw przypomnieć zasadę trójkąta barw podstawowych, na

której obie się wspierają. Oto górny wierzchołek trójkąta zajmuje czerwień, a u jego podstawy sytuują się kolory niebieski i żółty. Te dwa ostatnie, jak pisze Goethe, mimo że opozycyjne, znajdują jedność w czerwieni, natomiast w dole, mieszając się w akcie kreacji, emanacji, tworzą zieleni, kolor bliski materii, symbol ziemi. Nie trudno teraz dopatrzeć się w czerwieni trzeciej, brakującej Osoby Trójcy — Ducha Świętego, który będąc zasadą Trójcy jest zarazem, jak czytamy u Rungego „więzią między niebem a ziemią”. Na tej wieży wspiera się cały porządek kosmiczny, krótko mówiąc kosmos.

Sakralny charakter trójkąta uwypukla ambiwalencję tworzących go barw podstawowych. Np. czerwień, która jest gwarantem harmonii kolorystycznej, posiada również ciemną i groźną stronę: „Purpurowe szkło ukazuje dobrze oświetlony krajobraz w świetle przerażającym. W barwy tej tonacji spowite musiały być niebo i ziemia w Dniu Sądu Ostatecznego”.¹³

Błękit wg Goethego jest jeszcze bardziej uwikłany w sprzeczności: „(...) o błękiecie można powiedzieć, iż posiada właściwości czegoś ciemnego. Barwa ta na oko oddziałuje szczególnie, czego nie da się niemalże bliżej określić. Jako barwa jest energią, jednakowoż należy do strony negatywnej i w swej najczystszej postaci jest niejako nicością, która pobudza. Spoglądając na nią dostrzegamy sprzeczność między podniętą a spokojem (...) Tak jak chętnie gonimy za umykającym przed nami miłym przedmiotem, tak spoglądamy chętnie na błękit nie dlatego, że nam się narzuca, lecz dlatego, że nas za sobą pociąga.”¹⁴

Jedynym kolorem pozbawionym tej ambiwalencji (pomijając dwoistość żółtej barwy, o czym pisałem wcześniej) jest zieleni: „Okno nasze znajduje w niej realne zaspokojenie. Jeżeli obie podstawowe barwy mieszając się pozostaną w idealnej równowadze, tak że jedna nie dominuje nad drugą, to oko i dusza spoczywają na powstałej barwie jako na czymś prostym. Człowiek nie chce pójść dalej i nie może. Dlatego też na tapetę w pokoju, w którym się stale przebywa, wybiera się najczęściej kolor zielony.”¹⁵

Skoro jesteśmy teraz bogatsi o symboliczny kontekst, otoczenie, z którego przemawiają do nas „barwy ziemi”, spróbujmy zorganizować wokół nich poszczególne elementy obrazu Harringa. Inwokacja do „niemieckiego czytelnika”, otwierająca pamiętnik, wprowadza nas w kosmologię charakterystyczną dla czasu przejścia. Podróżnik powinien pożegnać się z Niemcami i przygotować swe serce na spotkanie z czymś „innym”, bowiem „dumne dęby w okolicy Milicza” są już ostatnim znamieniem swojskiego krajobrazu i solidnej, trwałej „niemiekości”. Za nimi rozpościera się płatanina bezdroży, błotniste koleiny prowadzące do nikąd. Nie można mówić o drodze, ponieważ ta „jak każde bagno — mogłaby dopiero stać się drogą.” I nie tylko wzrok, który „dosłownie na niczym nie mógł się oprzeć”, ale i słowa nie przylegają do swoich desygnatów. „Droga” właściwie nie jest drogą, „pierwszorzędna gospoda” każe się domyślać nędznej lepianki, a „czysta woda” okazuje się żółtą posoką. Ów stan zawieszenia, w którym „obraz” jest co prawda „utrwalony w pamięci”, lecz zarazem „wylania się” „unoszą się”, kieruje także przemianą emocji. Gwałtowne skoki w rytmie uczuć towarzyszą pokonywaniu kolejnych barier. Chciałoby się powiedzieć, że ta magia Alkmeny wieła się w istotną magię serca — „otwórz

serce na ten widok, pożegnaj się z Niemcami, ale następnie zamknij swe serce”; „było mi ciężko na sercu”; „ten odgłos przeszył mi serce”; „czułem ucisk serca”.

Gdy uważniej przyjrzymy się inwokacji, to zauważymy, że jeden szczegół zdecydowanie wyróżnia ją z całego pamiętnika. Przeczytajmy jeszcze raz „przypatrzyć się dokładnie dumnym dębom w okolicy Milicza, uciesz oko urokiem ich zieleni, lub jeśli będzie to zima, skrzącym szronem...” i rzeczywiście, poza tym jednym, szczególnym przypadkiem, w całym tekście ani razu nie pada słowo „zieleni”, zastępuje ją za to monotonie barw, pochodzących od „żółci”. Żeby wyjaśnić na czym polega ta wymiana, musimy ponownie odwołać się do kosmicznego trójkąta barw.

Kolor zielony symbolizuje w nim ziemię. Opisana przez Goethego coincidentia oppositorum dwóch barw — żółtej i niebieskiej — zakłada trzeci czynnik — czerwień. Jej brak lub obecność kieruje rocznym cyklem wegetacji. W niej spełnia się odwieczny dramat przyrody. Wiosna przynosi zieleni, jesień — skrzący się szron. Tymczasem kraina, do której dotarł Haring, nie zna następstwa pór roku — „Zimowy poranek świtał na horyzoncie, ale tu nie znalazł wiosny. Cztery pory roku wydawały się tu być w zacieklonym sporze nad sprawą śmierci natury. Nawet jej elementy zdawały się istnieć jedynie w stanie szczątkowym”. Rozpadają się wszystkie więzi łączące do tej pory niebo i ziemię. Chaos pochłania resztki zieleni i w postaci zdegradowanej żółci unosi je na swojej powierzchni. „Niebo i chaos — to główne tło tego obrazu. Ziemia nie była jeszcze, zdaje się, stworzona...” czas nieba i chaosu jest czasem kosmicznej katastrofy, którą dopełnia rozpad trójkąta barw. I chociaż ów Dzień Sądu Ostatecznego powinien objawić się grozą płonącej purpury, w obrazie Harringa nie znajdujemy czerwieni, ognia, wszędzie „powietrze, ziemia, bagniska i tylko tyle ognia, by służyło na zapalenie fajki”.

Zdziwimy się bardzo, gdy ta sama żółć w koncepcji Rungego okaże się Parakletem — pocieszycielem. Jestem głęboko przekonany, że jedno nie przeoczy drugiemu, a powyższa interpretacja poddaje się tej ambiwalencji. Należy bowiem do natury zjawisk symbolicznych to, że są one wieloznaczne. Wieloznaczność nie oznacza sprzeczności. Istotna różnica między pozytywnym a negatywnym odniesieniem barwy żółtej, może tracić na swej istotności podobnie, jak pozorne wykluczanie się „drogi prawdy” i „drogi upadku” w chrześcijańskim planie zbawienia. Widocznie nie wystarczy odwołać się do archetypu tak, jak to zrobił Toporow. Niech to ostatnie zdanie będzie konkluzją tego szkicu, a ponieważ droga, którą przebyliśmy, nie jest ślepą uliczką, zachęcam do głębszego wezytania się w *Zbrodnię i karę*, jej kolorystykę, za którą kryje się niemałe bogactwo znaczeń.

A może rozwiązanie przyniesie fragment tajemniczej księgi, którą niedawno odnaleziono w jakimś starym dworcu na kresach północno-wschodnich? Przeczytajmy go na zakończenie:

„A czy Sędzia, rzekł Major, Żółtą Księgę czytał? Co to za Żółta Księga? Pan Sędzia zapytał. Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty. A w niej pisze co słowo: strzyzek, Sybir, knuty: Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej Ogłoszonych, już pod stół wasze trybunały”.¹⁶

PRZYPISY

¹ John Mandeville

² Stróżewski Władysław, *Istnienie i wartość*, Kraków 1981 s. 5

³ Sewer z Antiochii *Milosierny Samarytanin* (w:) Henri de Lubac, *Katolicyzm*, Kraków 1961 s. 183

⁴ Władimir N. Toporow, *Poetyka Dostojewskiego a archaiczne schematy myślenia mitologicznego*, „Literatura na świecie”, 1981, nr 118, s. 305—331

⁵ tamże, s. 318

⁶ Paul Harro Haring, *Wspomnienia z Polski Kongresowej* (w:) *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, Kraków 1971, s. 325—354

⁷ Haring, op. cit., s. 333

⁸ tamże, s. 326—329

⁹ tamże, s. 333

¹⁰ Jan W. Goethe, *Nauka o barwach* (w:) *Wybór pism estetycznych*, Warszawa 1981, ss. 296—297

¹¹ Maria Rzepińska, *Historia koloru w dziejach malarstwa europejskiego*, t. 2, Kraków 1979, s. 90

¹² Goethe, op. cit., s. 324

¹³ tamże, s. 303

¹⁴ tamże, s. 299

¹⁵ tamże, s. 304

¹⁶ Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, w. 165—170